

Młodzież: Dobra czy zła? I czy zawsze prawdziwa?

Socjologowie próbują nowych metod oceny

O to pytanie na miarę Szekspira: jaka jest nasza młodzież? Ambitna — czy cyniczna, wspaniałomyślna — czy egoistyczna, ideowa — czy „bimbająca”, pracowita — czy leniwa do obrydlivosti? Zapytał rodziców „dobrych” dzieci — usłyszy się, że tak wspaniałej młodzieży jeszcze świat nie widział. Spytał ojca nicponiów — odpowie, że takiej chuliganerii jeszcze ziemia nie nosiła. I bądź tu, człowieku mądry, jeśli na dodatek problemy „wyżu” nie schodzą z łamów czasopism, z ekranu, głośników i książek!

Socjologowie spróbowali własnych metod pracy. Wytypowali dwie grupy łączącej wspólna cecha, przeważającą, by między nimi a młodzieżą była różnica co najmniej 10 lat. Jedną składała się z nauczycieli, studiujących zaocznie Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Druga — z pracowników przemysłu, handlu i administracji, studiujących zaocznie w Wyższej Szkole Ekonomicznej. Obie grupy łączyła wspólna cecha, przeważała w nich ludzie pochodzenia robotniczego i chłopskiego.

Podstawowe pytanie brzmiało:

CO SĄDZISZ O WSPÓŁCZESNYM MŁODYM POKOLENIU?

Jaki jest jego stosunek do życia, do ludzi starszych, do pracy zawodowej, czy i jakie reprezentuje wartości?

Takie pytanie nazywa się „otwarte”. Każdy, kto na nie odpowiada, może się bez ograniczeń „wypisać”, po czym głosy pro i kontra się nie sumują, lecz dają ogólną ocenę problemu. Ryzyko pytań otwartych polega na tym, że nie zawsze odpowiedzi okazują się charakterystyczne dla różnych grup ankietowanych.

Tym razem jednak opinie wyraźnie się podzieliły. Aż dwie trzecie pracowników przedsiębiorstw i administracji oceniło młodzież negatywnie, podczas gdy 73 proc. nauczycieli wystawiło jej świadectwo dodatnie.

Zajmijmy się na początek ocenami negatywnymi.

„UCIEKA OD PRZEWYCIĘŻANIA TRUDNOŚCI”

Z dezaprobatą pierwszej grupy ankietowanych spotkał się „bardzo lekki”, „lekceważący” czy wręcz „niepoważny” stosunek młodzieży do życia. W ich mniemaniu polega on na tym, że młodzież „lubi mieć pieniądze, które przychodzą bardzo lekko i bardzo lekko puszcza je z dymem i winem” oraz, że „ucieka od przewyższania trudności”. Podobnie brzmiały odpowiedzi na pytanie o stosunek młodzieży do pracy zawodowej: „...traktuje ją jako rozrywkę i zabieg czasu”, zadania, które należałoby wykonać z pewną dozą wysiłku, są o ile możliwości odrzucane. Stosunek do dorosłych oceniono słowami: „ludzi starszych traktuje jak dzieci”, „z ludzi starszych sobie kpi”.

Diametralnie różne odpowiedzi wpłynęły od drugiej grupy ankietowanych. Nauczyciele starali się od-



Nr 195

18. VII. 1965

Rok V

dzielić obserwacje naskórkowe od głębszych refleksji na temat młodzieży. Może dlatego, że już przy wyborze zawodu kierowali się sympatią do osób młodych? Może i dlatego, że studia pogłębiły ich spojrzenie na skomplikowane problemy młodzieży?

„JEST UCZUCIOWA, MA SPORO IDEALÓW”

a jednak pozuje na cyniczną, nie uznając autorytetów” — brzmią słowa nauczycieli, która zaraz potem usiłuje wytłumaczyć przyczyny tej pozy: „Nie potrafimy dla młodzieży znaleźć celów, prac, w których mogłaby wykazać swoją bezinteresowność, swoje życiowe ambicje”. Inne głosy wyrażają podobną myśl.

Nauczyciele widzą, że stosunki między młodymi i starszymi bardzo często układają się niewłaściwie, ale tłumaczą to inaczej niż przedstawiciele pierwszej grupy ankietowanych. „Starsze pokolenie zastęguje w pewnych formach, które były dobre w czasach ich młodości”. „Od starszego pokolenia różni się młodzież świeżością swoich poglądów, nie jest obciążona przesadami religijnymi (nawet jeśli wierzy), czy uprzedzeniami narodowymi”. „Jest trudniejsza do prowadzenia ze względu na to, że jest bardzo żywa, a to wynika z jej zetknięcia się z życiem stosunkowo wcześniej, niż miało to miejsce dawniej”.

I wreszcie stosunek młodzieży do pracy zawodowej. W tej sprawie opinie obu grup niewiele się od siebie różnią. Jednak nauczyciele starają się dojść przyczyn, dla których młodzież lekceważy obowiązki zawodowe, szukając w nich przede wszystkim okazji do łatwego zarobienia pieniędzy jak najmniejszym kosztem.

NAUCZYCIELE I INNI

Gdyby socjologowie dodali do swej ankiety jeszcze jedno pytanie: — Co czytelnicy sądzą o jej wynikach? — przypuszczam, że odpowiedź odeszłaby od spraw młodzieży i skierowała się ku pokoleniu ludzi starszych.

Wychowawcami młodego pokolenia są nie tylko rodzice i nauczyciele, ale wszyscy dorośli, którzy stykają się z nim na co dzień. Dlatego zdecydowanie negatywna, a przy tym powierzchowna i stereotypowa opinia o młodzieży, wyrażona przez dwie trzecie pracowników różnych dziedzin, budzi poważny niepokój. Jak się ułożą losy młodzieży, która zmienia szkołę na środowiska zawodowe? Może, natknąwszy się z miejsca na barierę uprzedzeń i niechęci, z pozującej na modny „cynizm” stanie się rzeczywicie cyniczna? Jak temu zapobiec?

Czy myślą o tym teoretycy „stosunków międzyludzkich”, starający się rozwikłać konflikty w mniejszych grupach osób, złączonych wspólnym miejscem pracy?

Pechowy arcydzieło

Zwycięska operacja zaczepna Armii Radzieckiej rozpoczęła się spod Witebska 22 czerwca 1944 roku (w trzecią rocznicę napaści Trzeciej Rzeszy na ZSRR), przesunęła w ciągu miesiąca front o ponad 400 km; aż nad Wisłę.

Następstwa

Jak stwierdzają pohitlerowscy generałowie — Philippi i Heim, autorzy opracowanego na zlecenie Amerykanów studium o doświadczeniach wojny przeciwko ZSRR: „Straty Grupy Armii „Srodek”, wynoszące ogółem 28 dywizji z 350 000 ludźmi, oznaczały znacznie większy upływ krwi aniżeli Stalingrad...”.

Hitler — który zawierzywszy opiniom sztabu OKH, iż na odcinku witebskim lato minie spokojnie, zgodził się uprzednio na skoncentrowanie wszystkich odwodów nie w tym rejonie, lecz na południe od nieprzebytch błot Polesia — ostatecznie stracił zaufanie do swych generałów. Ponieważ nie mógł uwierzyć w ich niekompetencje — zaczął podejrzewać o... zdradę na rzecz Armii Radzieckiej.

Tymczasem przywódcy, absolutnie beczynnej do tego czasu tzw. odgórnej opozycji antyhitlerowskiej, w której skład wchodziło wielu generałów, w obliczu tej katastrofy sygnalizującej już rychłe przeniesienie działań Armii Radzieckiej na terytorium Reichu, postanowili stworzyć warunki do separatystycznej kapitulacji wobec mocarstw zachodnich. Właśnie przez poświęcenie, a raczej pozbycie się, zbyt skompromitowanego Fuehrera. Tak więc 20 lipca podpułkownik Stauffenberg, niemiecki patriota dawno już będący zwojennikiem uwolnienia Niemiec od Hitlera i hitlerowców, mógł wreszcie dokonać zamachu bombowego na Hitlera. Chybiono! Ocalały „za sprawą opatrzności” Fuehrer, znalazł potwierdzenie swych podejrzeń o zdradzie knutej na każdym kroku przez generalicję. Krwawo rozprawił się ze szwastykami, na których padło choćby podejrzenie o przynależność do spisku.

Hitler a Gehlen

Podejrzenia te co prawda ominęły generała ponoszącego w wyjątkowo wysokim stopniu rzeczywistą odpowiedzialność (wraz z Armią Radziecką) za czerwcowo-lipcowy pogrom Wehrmachtu na froncie wschodnim. Był nim szef antyradzieckiego

wywiadu, który właśnie (swymi całkowicie chybnymi ocenami możliwości i kierunku działań Armii Radzieckiej) spowodował opinię o „spokojnym lecie” witebskim, a w ślad za tym stał się sprawcą fałszywego rozmieszczenia odwodów. Lecz Gehlenowi można było zarzucić jedynie kolejną nieudolność, nie zaś niewierność. Był jak dotąd partackim „mistrzem w swym fachu”, ale coś kiedy arcywiernym swemu Fuehrerowi. Że zaś Hitler odkrywszy właśnie flirt z Anglo-Amerykanami drugiego ze swych arcyszpiegów — admirała Canarisa, wyprawił go na tamten świat. Gehlen — z powodu braku konkurenta — chwilowo nie został nawet objęty czystką.

Tyle, że Hitler nabrał swym zwyczajem wprost chorobliwej nieufności do wartości ocen „mistrza” wywiadu. Twierdził — trzeba przyznać, że nie bez powodu — iż Gehlen daje się każdorazowo nabierać Rosjanom

Tajemnice hitlerowskich sztabów (3)

na ich podstępny. Jeśli więc ktoś próbując przekonywać Fuehrera, powoływał się na opinie Gehlena, musiał liczyć na niepowodzenie.

Wpadka Guderiana

A jednak Guderian, nowy szef sztabu generalnego OKH, mierny strateg, ale wybrany na to stanowisko po zamachu 20 lipca 1944 r. ponieważ był absolutnie wiernym swemu wodzowi — nie mógł obejść się bez pomocy wywiadu. Był więc skazany na „mistrza” Gehlena. I rzecz znamienita — uległ jemu. Na swoje niezszczenie.

Oto bowiem prognozy jakie Gehlen opracował jesienią 1944 r. zapowiadały większe ofensywne działania radzieckie jedynie przeciwko Prusom Wschodnim i Węgrom; dopiero zaś po zlikwidowaniu tych flankowych nawiisów ówczesnego frontu, należało się ponoć spodziewać strategicznych operacji radzieckich znad Wisły także w kierunku zachodnim. Tak więc Guderian licząc, iż będzie mógł zimę przetrwać, manewrował do tychczasowymi siłami frontu wschodniego i nie opierał się Hitlerowi planującemu operację ardeńską. Przeciwnie — był jej zwolennikiem. Użycie do tej operacji odwodów strategicznych Trzeciej Rzeszy, miało bowiem po szybkim (jak się spodziewano) pogromie wojsk anglo-

amerykańskich, przynieść zyski w postaci możliwości przerzucenia zarówno tych rezerw, jak i większości dywizji uwiązanych do tego czasu na Zachodzie, na decydujący front wschodni.

Dopiero w ostatniej dekadzie grudnia 1944 r., kiedy trwała, a nawet utknęła ofensywa ardeńska, Gehlen zorientował się, iż Armia Radziecka kończy przygotowania do zimowej ofensywy. Że jej siły koncentrują się na całym froncie od Tylży po Karpaty, głównie jednak... nad Wisłą. Zaalarmował szefa sztabu. Było już jednak za późno. Hitler trzymający się kurczowo koncepcji rozbicia za wszelką cenę wojsk anglo-amerykańskich, by w ten sposób zyskać wolne ręce do decydujących działań na froncie wschodnim, ani myślał przerwać działań na Ardenach.

Źródła mitu Gehlena

Hitler natychmiast uznał radziecką koncentrację nad Wisłą jako kolejną bluff, na który ponownie dał się nabrać niedołęga Gehlen. Ba, domagał się, by Guderian natychmiast zdjął ze stanowiska Gehlena, a nawet zamknął go w zakładzie dla obłąkanych. Sparzywszy się już wielokrotnie optymistycznymi prognozami niefortunnego kierownika antyradzieckiego wywiadu — tym razem nie wierzył już nawet pesymistycznym...

Tak oto dotychczasowe kompromitacje Gehlena — współtwórcy klęsk na Wschodzie (w tym także stalingradzkiej, kurskiej i witebskiej) miały wywierać z góry wpływ na strategiczne decyzje Hitlera nawet wówczas, kiedy Gehlenowi wyjątkowo udało się rozpoznać zamiary radzieckiego przeciwnika.

Ten właśnie fakt, że Hitler zlekceważył trafną ocenę Gehlena wykorzystaną po wojnie historiografia zachodnoniemiecka. Gehlen został uznany za „genialnego”, za „mistrza swego fachu”, „arcyszpiega”, „najlepszego specjalistę w dziedzinie wywiadu antyradzieckiego”. Hitler obwiniony wyłączną odpowiedzialnością za wszystkie klęski.

Oto pytania!

Znacznie jednak bardziej interesującą od źródeł legendy Gehlena wydaje się kwestia: co rzeczywicie ów „geniusz” wiedział w początkach stycznia 1945 roku o gotującej się burzy nad Wisłą; ponadto zaś — skąd to wiedział?

O tym — za tydzień.

Franciszek Sambrski

Wysokie „C” w cieniu big-beatu

Jedni wychwalali pod niebiosa, inni kłębili w żywy kamień. Tak czy owak, Festiwal Opolski okazał się kolejnym aktem wielkiego szumu wokół polskiej piosenki. Czy nasza najłżejsza muza na tym zyska, czy nie — zobaczmy, a raczej usłyszymy już niedługo. „Sopot-65” — ante portas. Póki co, poprzestajmy na stwierdzeniu, że choć — jak twierdzą malkontenci — melodie są nudne, teksty nędzne, a aranżacje blade — na brak rozgłosu nie mogą narzekać ani kompozytorzy, ani au-

torzy tekstów, ani wykonawcy. Niemal każde dziecko wie nad Wisłą, kto zaczął Łazuka, Danuta Rinn, czy Katarzyna Sobczyk; statystyczny Polak wstydziłby się grzeszyć nieświadomością, że Violetta, to Villas, a uosobienie artystycznej parodii, to nikt inny, jak tylko (przynajmniej: niedościgniony w tej materii) Andrzej Bychowski.

I choć rozdzielają szaty co poniektórzy rejtani „czegoś lepszego”, „bardziej wzniosłego”, „piosenki — którą się od razu pamięta” — ośmielię się nie podzielać ich obaw.

Może z tych próbnych wciąż przecieć galopów (o)polskiej piosenki coś się wreszcie rzetelnego wykluje. Coś, co się nam obwieści — jak ten i ów przepowiadać się waży — szlagierowym sukcesem w San Remo, czy jego odpowiedniku. Szkoda tylko, że w tym zgłęku publiczności i publiczki nad byle nutką big-beatu zanika społeczna uwaga dla prawdziwej muzyki, dla prawdziwej pieśni.

PODZWONNE DLA TRADYCJI?

Ma pieśń polska piękne tradycje. I dawne — od chopinowskich, poprzez: Moniuszkę, Komorowskiego, Żelęńskiego, Noskowskiego, Niewiadomskiego, Galla do Paderewskiego, Szymanowskiego i Nowowiejskiego. I nowe — na które złożyły się m. in. utwory: Szeligowskie-

Dokończenie na str. 2

Tadeusz Becela

Pierwsze kroki na miejskim bruku

Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego ukazała się niebawem wspomnienia Tadeusza Beceli pt. „Lata górne i chmurne”, z przedmową dr. doc. Antoniego Czubińskiego. Praca ta nagrodzona została w ub. roku w konkursie ogłoszonym przez Polskie Towarzystwo Historyczne.

Zamieszczony poniżej fragment książki, przedstawia wydarzenia, rozgrywające się w Poznaniu w roku 1931.

Gdy 3 stycznia 1931 r. znalazłem się na ulicach Poznania, byłem dumny z odniesionego zwycięstwa. Czuję się podobnie, jak wielu książkowych bohaterów, którzy realizację swych celów wiązali z wielkim miastem. Zapomniałem tylko, że kamienie miejskie są nieczyste na młodzieńcze porwy, a z poparciem ludzi też różnie bywa — przeważnie zajęcia są własnymi sprawami i nie obchodzi ich na co dzień głosy bohatera.

Mój wylot w świat odbył się tym razem bez nieprzyjemnego ucisku w żołądku. Ryzyko łagodniła książeczka PKO, na której zdążyłem odłożyć tysiąc pięćset złotych. Ta pierwsza akumulacja, dokonana kosztem kilkuletnich wyrzeczeń, świadczyła, iż nie zdążyłem wyrozić się z ojcowskich nawyków.

Czułem się teraz lepiej przygotowany do walki z przeciwnościami losu niż w roku 1926. Jedynie gdy pomyślałem o egzaminie, ogarniała mnie niepewność. Dlatego zapewne wspomnienia pierwszych dni, spędzonych w Poznaniu, wiążą się z wkuwaniem wzorów trygonometrycznych i algebraicznych, które miały mi dać prawo do wielkomiejskiego obywatelstwa.

Po kilkudniowych wędrówkach, po różnych mieszkaniach, zatrzymałem się na trzecim piętrze domu przy ulicy Wierzbicę 23. Zająłem tam drugie łóżko w pokoju dwuosobowym, w którym mieszkał już słu-

chacz Państwowej Szkoły Budownictwa, pochodzący spod Dąbrowy Górniczej. Płaciliśmy każdy po piętnaście złotych, co przy budżecie miesięcznym, wynoszącym pięćdziesiąt złotych, było górną granicą możliwości. Mój współlokator, o kilka lat starszy ode mnie, na życie otrzymywał z domu trzydzieści pięć złotych. Mimo wysokiej opłaty za mieszkanie, jakoś tam żył, a nawet do teatru chodził, oczywiście, na jaskółkę. Bilet na niedzielne popołudniówki kosztował dwadzieścia pięć groszy. Za jego przykładem rozmawiałem się w teatrze.

Oglądałem z jaskółczej perspektywy wiele przedstawień i koncertowo zagranych ról. Moją premierą był „Proboszcz wśród biedaków” w wykonaniu dyrektora Szczurkiewicza. Parafialny księżuło, szukający daremnie poparcia dla słusznej sprawy u fioletowych eminenj i kłękający przed nimi w pokorze ducha, dostarczał przeżyć, które przy-

czyniły się także do utrwalenia mej społecznej świadomości. Trudno dziś powiedzieć, czy stało się to bardziej za sprawą treści sztuki, czy też gry Szczurkiewicza.

Mieszkanie nasze należało do zwolnionego ze służby policjanta, który nie wytrzymał w roli podpory ustroju i załamał się nerwowo. Jego historyczny płacz, przenikający w nocy przez ściany sypialni, dowodził, że ognia aparatu ucisku też się ścierały. Ten szloch dorosłego mężczyzny zmieszał mi się w pamięci z melodią smętnego tanga, które w kółko wygrywał na mandolinie jego syn, uczeń seminarium nauczycielskiego.

Histeria byłego policjanta nie miała nic wspólnego z wypadkami, które wydarzyły się w Poznaniu w minioną noc sylwestrową. „Kurier Poznański” rozpisywał się o krwawych zajściach spowodowanych przez „ciemne typy”, które wybijały

okna i podkładały petardy pod tramwaje.

Sądząc z opisu zdawało się, że w ową noc doszło w Poznaniu do poważnych rozruchów, te petardy pachniały prawie powstaniem zbrojnym. Dopiero później dowiedziałem się, że chodziło o demonstrację pod hasłem: „Wy się bawicie — a nam braknie chleba”, powtarzaną od kilku lat w sylwestrową noc. Tym razem do akcji włączyły się elementy szuliganione i wynikły awantury uliczne, które z planowaną akcją nie miały nic wspólnego.

Pogarszająca się z miesiąca na miesiąc sytuacja gospodarcza zmuszała po prostu do organizowania wystąpień. Magistrat poznański przedstawił radzie miejskiej projekt budżetu o dziewięć i pół miliona mniejszy niż w roku ubiegłym. Prezydent miasta Cyryl Ratajski uzasadniał przekonując konieczność stosowania najdalej idących oszczędności w gospodarce komunalnej tym bardziej, że „nie widzimy jeszcze dna kryzysu i nie mamy widoków na rychłą poprawę. Przedstawiony radzie budżet jest odbiciem kurczącego się życia społecznego i obrazem zastój w

Dokończenie na str. 2

Wysokie „C” w cieniu big-beatu

Dokończenie ze str. 1

go, Wiechowicza, Maklakiewicza czy Perkowskiego. Tradycje piękne i... głuche. Albowiem konia z kluczem wiolinowym temu, kto może się pochwalić, iż dane mu było wysłuchać ostatnio koncertu, czy recitalu pieśni polskich kompozytorów. Nie lepiej zresztą dzieje się z pieśniarskim repertuarem kompozytorów obcych, ale mała to pociecha.

A wracając na rodzime podwórko — wielce to zastanawiające zjawisko, że tak popularny do niedawna gatunek twórczości kompozytorskiej,

jak pieśń — ginie z warsztatu naszych twórców. A jeśli nawet tu i ówdzie pojawia się tego rodzaju utwór — to tylko na papierze nutowym, a objawia się co najwyżej w bardzo wąskim kręgu odbiorców. Szerzej go nie słychać. Nikt nie śpiewa. A w każdym razie prawie nikt.

Organizacje rynku koncertowo-estradowego, z „Estradą” na czele, zdają się twierdzić, że na podaż takiej muzyki nie ma popytu, który gwarantowałby forsowanie pieśniarskiego ruchu koncertowego. Czy tak jest rzeczywiście — trudno powiedzieć. Nie ma bowiem podstawy nawet do wyrwykowanych ankiet, jako że nie się w tej branży nie dzieje. Rzecz tym więcej zastanawiająca, że mamy w kraju wielu wykonawców, którym pieśniarstwo nie tylko nie jest obce, lecz — przeciwnie — którzy od dawna związali się z tym gatunkiem wokalistyki i osiągnęli tu wysoki, a nawet bardzo wysoki poziom.

PAPROCKI AND CO

Obok Łazuki, Bogdana nr 1, którego popularność osiągnęła oszałamiające rozmiary, jest i — przepraszam obu panów za tę klasyfikację i porównania — Bogdan nr 2. Bogdan Paprocki, najwybitniejszy polski tenor okresu powojennego, znakomity artysta, który występował w 30 (słownie: trzydziestu!) krajach, mistrz bel cant. A kto słucha w Polsce Bogdana Paprockiego? Rzadko w radio, a jak już, to w oklepny repertuarze arii z „Poławiaczy pereł”, „Strasznego dworu”, czy operetek Lehara. A przecież jest to śpiewak, który dysponuje bardzo bogatym repertuarem właśnie polskich pieśni! Wątpliwym usprawiedliwieniem dla „Estrady” i jej siostrzy może być, że niemal w ogóle nie organizuje się wokalnych koncertów estradowych. Ani w pieśniarskim, ani w żadnym programie.

Bogdan Paprocki nie jest sam. Ma wielu znakomych kolegów i wiele znakomych koleżanek. Andrzej Hiolski, najświetniejszy bary-

ton, jakiego mieliśmy w ostatnim dwudziestolecu. Zdzisław Klimek — młody baryton, który mu dzielnie sekunduje. Tacy świetni tenorzy — jak: Kazimierz Pustelak, Marian Kouba, Zdzisław Nikodem, Romuald Spychalski, czy najmłodszy z nich, rewelacyjnie się zapowiadający Wiesław Ochman. A takie znakomite basy, jak: Bernard Ładysz, Edmund Kossowski, Majak czy Łukaszek. Czy tak świetne sopranistki, jak: Bożena Lewgowa, Stefania Woytowicz, Bogna Sokorska, Zofia Janukowicz, czy Halina Sionicka, lub tak wspaniałe mezzosopranistki, jak Krystyna Szczepańska, Bożena Brun-Barańska czy Stanisława Marciniak...

W Polsce naprawdę ma kto śpiewać pieśń poważną. To nie jest argument, że wielu wymienionych często występuje w różnych krajach, odnosząc zasłużone sukcesy. Trzeba stworzyć odpowiednie ramy organizacyjne, a są po temu wszelkie możliwości, aby wybitni polscy śpiewacy mogli się także pokazać i wyśpiewać w... Polsce. Nie tylko w salach teatrów operowych.

Bogdan, trzymaj się! — śpiewa sympatyczny Bogdan Łazuka. Które to wezwanie jest o tyle zbyteczne, że ta i mnóstwo innych piosenek znakomicie sobie radzą, znajdując miejsce na ziemi i na wszelkiego rodzaju estradach amatorskich i zawodowych. Bogdan, trzymaj się! — chciałoby się raczej zawołać pod adresem Paprockiego. A w jego osobie — pod adresem reprezentowanej przez niego i przez ogół śpiewaków z prawdziwego zdarzenia — prawdziwej sztuki. Nie pozwólmy, żeby wysokie „C” zginęło w cieniu big-beatu. Polska wokalistyka, która ma wspaniałe tradycje i armię świetnych rycerzy spod znaku sztuki przez duże „S” — nie zasłużyła na to.

FRANCISZEK SAMBORSKI

Eugeniusz Paukšta

Blżej morza

Najpierw parę uwag ogólnych. Gdy przed ładnymi paru laty powołano w Gdyni „Wydawnictwo Morskie”, można było tylko przyklasnąć mądrej decyzji, uwzględniając ciągle przez rodaków niedocenianą jeszcze tą okoliczność, iż staliśmy się państwem ladowo — morskim. Musiało to znaleźć swój wyraz także i na odcinku wydawniczym.

Nowa oficyna wystarłowała dobrze i ambitnie. Rzecz tylko w tym, że możliwości są dosyć ograniczone wszelkimi limitami, arkuszami, budżetem itp. Ślad może i rozmach wydawnictwa jest stępiony, trudno planować na szerszą skalę przy małej ilości papieru i zwyczajnej cenie. Czas by chyba najwyższy mocno przemyśleć tę sprawę; tradycje morskie w społeczeństwie nie rodzą się z miejsca, trzeba je długo wypracowywać także przez właściwy ruch wydawniczy.

A teraz o paru ostatnich nowościach gdyńskiej oficyny. Na pierwszy ogień nowa pozycja Jerzego Perka, jednego chyba dziś marynisty „cała gęba”, laureata wielu nagród i co najważniejsze — autora świetnych pozycji. Tym razem w albumowym wydaniu otrzymujemy piękną monografię „Burza” — weteran aliantyckich szlaków, pozycję nader aktualną, zważywszy, iż nasz najstarszy, tak bardzo zasłużony okręt wojenny został obecnie przemieniony na okręt-muzeum i dostępny jest do oglądania każdemu. Perke jakimiś sobie tylko znanymi sposobami wydołał pełną dokumentację dziejów statku od skomplikowanych perypetii podczas jego budowy we francuskiej stoczni aż po bohaterskie dzieje walki podczas ostatniej wojny. Pozornie sucha, relacjonująca, a przecież zarazem naprawdę pasjonująca to lektura.

Skoro zaś mowa o okrętach-muzeach, to oto inna pozycja: Marii Raddeckiej „Królewski okręt „Wasa”, niewielka relacja-opowieść o złośliwej sensacyjnej historii podniesienia z dna morskiego po 333 latach królewskiego okrętu bojowego „Wasa”, jednego znanego nam od dawna w całej swej krasie okrętu z XVII wieku, prawdziwy autentyczny ówczesny cywilizacji, symboli zarazem tradycji morskich potomków dawnych Wikingów.

W cyklach epizodów z walk na morzu podczas ostatniej wojny warto za-

lecić ciekawą książeczkę Andrzeja Perepeczki „Okinawa”, dzieje głoszące desantu amerykańskiego na Okinawę, wyspę stanowiącą główny ciąg ostonowy terytorium japońskiego. Operacja rozpoczęła się 1 kwietnia 1945 roku, z obu stron prowadzona z ogromnym nakładem sił i środków, bohaterska, często desperacka, zakończona została zwycięstwem amerykańskim. Droga do macierzystych wysp japońskich stała otworem.

Z innych pozycji Wydawnictwa Morskiego, wymienić trzeba nową powieść Stanisławy Fleszarowej-Muskat „Szukając gdzie indziej”. Popularna autorka tym razem sięga do spraw środowiska leśnego, na kaszubskich terenach, ukazując w warstwie, mocno udrammatyzowanej akcji osobliwie spłoty ludzkich losów i ilustrując tezę, że nie ma miejsc, do których nie dotarła tak czy inaczej atakująca współczesność ze wszystkimi swoimi powabami, ale i z minusami.

Stanisław Goszczurny publikuje trzecią swoją książkę pod tytułem „Niezłomnie niebohałtery”, w której relacjonuje w zbeletryzowany sposób oparte o własne przeżycia dzieje jednego z przymusowych obozów pracy rozłożonych licznie na linii Wybrzeża. Od Elblągu prowadzi nas autor w przełomowych miesiącach końca 1944 i początków 1945 roku szlakiem ewakuacyjnym na Gdańsk i Gdynię, gdzie w kotły trafiły wielkie siły Wehrmachtu. Książka zawiera wiele nieznanych szczegółów.

I jeszcze jedna pozycja gdyńskiej oficyny, Tadeusza Stępowskiego „Jutro będzie inaczej”. Jest to tomik opowiadań mazurskich, współczesnych, ale bardzo silnie przez różne reminiscencje zahaczających o przedwojenną przeszłość tej udręczonej przez losy ziemi. Stępowski zna wiele faktów z najbliższego sąsiedztwa, mieszkał bowiem w Mławskim i na długo przed wojną interesował się problematyką mazurską. Podobnie jak i poprzednie, książka jego ratuje od zapomnienia wiele ciekawych, dramatycznych, ale i nieraz nie pozbawionych humoru momentów.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Pierwsze kroki na miejskim bruku

Dokończenie ze str. 1

działach miasta. Obniżyliśmy stawki podatku kinowego i dodatki do patentów akcyzowych. Pozostawiliśmy rezerwy w niskich opłatach za gaz, światło i wodę, nie podwyższaliśmy od kilku lat mimo podwyżek robocizny. Dalszą rezerwę stanowić może przedsiębiorstwo tramwajowe, które zamierzamy w przyszłym roku przejąć w bezpośrednią administrację.

Najgłębszą troską napawa nas los bezrobotnych, których liczba w mieście naszym stale i szybko wzrasta — doszła obecnie do niepokojącej liczby 7 631 osób. (...)

Wobec braku kapitałów w kraju oraz braku zaufania do polskiej emisji długoterminowych kredytów zagranicą, nie udało się nam dotychczas sprzedać czternaście milionów osiem procentowej obligacji miejskich emitowanych na ogólną sumę dwadzieścia milionów. Stąd wyniki nadmiernie krótkoterminowych zobowiązań miejskich. Miasto dokonało w ostatnich trzech latach nadmiernego wysiłku finansowego, urządzając powszechną wystawę krajową

i budując ogromną elektrownię, która dotychczas nie jest w pełni wykorzystana...“.

Ściśle biorąc prezydent Ratajski mówił tylko o bezrobotnych rejestrowanych na „oborze”. Prasa podawała wówczas urzędowe liczby bezrobotnych; dla Poznania 13 000, w województwie poznańskim 26 000 i w całym kraju 287 000. Gdy radni wybrani z list robotniczych o tym przypomnieli, proponując rozszerzenie robót publicznych i zasiłków, zabrała głos radna endecka — pani dr Grosmanówna wyjaśniając, że na wyasygnowane dwa miliony pozostaje jeszcze siedemset sześćdziesiąt tysięcy złotych niezrealizowanych. Apele do władz państwowych nie dają żadnego rezultatu — na pomoc ze strony województwa nie można liczyć. Województwo doradza rozlokowanie bezrobotnych na prowincję, tymczasem w mieście gromadzą się ludzie bez pracy nawet z dalszych okolic...

Na drugi dzień „Kurier Poznański” nazwał wystąpienie robotniczych radnych niewybredną agitacją.

Nie mogłem wówczas zrozumieć tej jaskrawej niechęci do każdego głosu lewicy — etykę nienawiści klasowej i demagogię narodowej prasy uczylem się dopiero poznawać.

Wspominam ową budżetową dyskusję rady miejskiej dla uwypuklenia zastoju gospodarczego miasta, który doprowadził do bankructwa niektórych poznańskich firm. Wielką atrakcją było ogłoszenie nadzoru sądowego nad przedsiębiorstwem „Apollo”.

Wśród poznańskich posiadaczy było kilkunastu ludzi obdarzonych niepospolitymi zdolnościami żonglerskimi. Do nich należał niewątpliwie Jan Łuczak, człowiek, który błyskotliwą karierę kupca — kapitalisty rozpoczął w roku 1908, kiedy wszedł do spółki z wrocławskim kupcem Adolfem Heusbergerem, z kapitałem dziesięć tysięcy marek. Po roku, gdy spółka została rozwiązana, związał nową, tym razem z poznanianką Heleną Czepczyńską. W czasie wojny firma wzbogaciła się głównie na dostarczaniu ubrań dla armii niemieckiej.

Po wojnie, wykorzystując okres inflacji kupił trzy nieruchomości przy ulicy Piekary, Franciszka Ratajczaka i 27 Grudnia, za ogólną sumę jednego miliona sześćset trzydzieści tysięcy marek. Zakupione domy przebudowane zostały na hotel, teatr, dwa kina, restaurację i łazienki. Utworzono wówczas cały znany do dziś blok pod nazwą Pasaż Apollo. W roku 1927 pani Czepczyńska wyniosła ze spółki bagatelą sumę jednego miliona dwieście tysięcy złotych. Miała widocznie lepszego nosa i czuła zbliżający się kryzys. Łuczak natomiast wpadł w trudności finansowe.

Zazdrośnikiem, którego powodzenie Łuczaka kłóliło w oczy, był podobno jego szwagier, Jan Kałamański, właściciel kina „Słońce” i prezes Izby Przemysłowo-Handlowej. Pochodził ze Słupi Kapitulej w powiecie rawickim, gdzie jego ojciec był nauczycielem, z tej wsi, o której ziomkowie mówili, że „W Słupi lud głupi”.

Wspominam udane i nieudane poczynania, poznańskiego kapitalisty, aby wskazać na atmosferę miasta w owym roku, w którym rozpoczynałem na Wildzie swój społeczny awans.

TADEUSZ BECELA

Przeglądamy Prasę

Mimo okresu urlopowego, wszystkie niemal czasopisma prezentują bogaty i ambitny profil tematyczny. Z okazji XXI rocznicy PKWN, „Polityka” ukazała się w zwiększonej, 16-stronicowej objętości. Tygodnik zawiera m. in. następujące pozycje: „Sprawa Polski w Jaltie i Poczdamie”, „Pierwsze dziesięć dni PKWN”, „Jak rokować z de Gaulle'em w EWG”, „Wietnam — najlepszy byłby nóż”. Ponadto tygodnik rozpoczyna publikację cyklu artykułów poświęconych charakterystyce rozwoju gospodarczego w krajach demokracji ludowej oraz druk wypowiedzi konkursowych p. „Awans klasy”.

O IDEOLOGII SZCZĘŚCIA

„Mass-culture” — etos czy technika rozrywki? — to tytuł artykułu Jerzego Kossaka na łamach „Kultury”. Autor snuje w nim rozważania na temat tzw. „kultury masowej” i przyszłego modelu formacji intelektualnej społeczeństwa. A oto krótki cytat zapożyczony przez Kossaka od jednego

z najwybitniejszych znawców kultury współczesnej, wybitnego socjologa Edgara Morina: „Pierwsze zachłystnięcie społeczeństwa kulturą masową miało. Prymatywnie pojęta ideologia szczęścia ukazuje swoje pęknięcia (...). Same bóstwa kultury masowej nie okazują się szczęśliwe. Marilyn Monroe popadła w samobójstwo. Brigitte Bardot przeżywa rozczarowanie (...). Ideały dotychczasowej kultury masowej były wątłe i kruche (...). Od konsumpcyjnych ideałów szczęścia linia rozwoju chyba prowadzić będzie do zabezpieczenia bardziej trwałych szczęścia ludzkiego”.

Zdaniem Morina ewolucja modelu kultury społecznej zmierza w kierunku „postawy walczącej, człowieka czynnego, wojującego, zmieniającego świat”.

HEJŻE NA ... MŁODZIEŻ!

„Młodzież — przedmiot uwielbienia, a publiczności — jakże bardzo sprytny łudek (...) Właśnie zdążyła tylko młodzież wyjechać w lasy, góry, knieje i dukty (...) a tu masz, istna eksplozja młodzieżowego tematu” — zżyma się „Walka Młodych”.

Istotnie, nie ma chyba czasopisma, które by w tej lub innej formie nie poruszało młodzieżowego tematu.

Niezbyt wesołe zapiski poczynił na łamach „Kultury” Andrzej Garlicki w swym „Dzienniku egzaminatora” na wyższą uczelnię. „Sprawdzałem 40 procent prac. Poziom mniej chyba niż przeciętny. Slogany, frazesy; nader mało faktów. Bardzo rzadko jakiś cień samodzielnego myślenia, jakaś próba własnej oceny (...)

Zdaje kandydatka z Pułtusa. Odpowiedź dobra, dziewczyna robi wrażenie inteligentnej. Duży kłopot z punktami (za pochodzenie społeczne — przyp. lekt.). Ojciec zmarł jak miała 2 lata, a matka jest rencistką, chyba start tej dziewczyny nie był łatwiejszy niż tych pochodzenia chłopskiego i robotniczego. Ale punktów nie możemy dodać”.

IDEAL A. D. 1965

Pod takim tytułem Jan Gajewski snuje w „Pracach i Życiu” rozważania na temat współczesnego bohatera. Jest to — jak stwierdza — jeden z najistotniejszych problemów moralnych i moralno-politycznych naszych czasów. Jaki jest bohater roku 1965? Jaki on jest w odczuciu społecznym, jak o sobie zwłaszcza wybiorą młode pokolenie? — zadaje. Próbe odpowiedzi na te pytania usiłuje autor sformułować, patrząc na młode pokolenie przez pryzmat prac maturalnych wybranej grupy młodzieży przeciętnej szkoły warszawskiej. Przylaczając różne charakterystyczne wypowiedzi z maturalnych prac pisemnych, autor stwierdza z optymizmem:

„Wbrew tej pozie, w której szczypta „robofona” cynizmu, szczypta szorstkości, szczypta lekceważenia porządku starszych, a także wbrew temu, co się o młodzieży zwykło w tonacji oburzeniowo-potępiającej mówić, jest ona wrażliwa, potrafi głęboko przeżywać losy i tragedie ludzkie, ma swe ideały, zgodne z kierunkiem dziejów, z postępek i poczuciem dobra i sprawiedliwości.”

W tym samym numerze „P i Ż” warto przeczytać interesujący raport Hanny Zaniewskiej p. „Sprzymierzeniecy Wschodzącego Pana Boga”. Można znaleźć w nim pasjonujące przykłady wyników pracy wrocławskich kuratorów sądowych, sprawujących opiekę nad młodocianymi przestępcami.

KOMU PIOSENKA...

Mimo zawodowego optymizmu naszych speców od piosenki ostatni festiwal w Opolu wywołał uzasadniony niepokój o kształt polskiej piosenki. Jeszcze jednym wyrazem tego jest dyskusja na łamach „Żarzewia”, „Walki Młodych”, a także korespondencja na ten temat w ostatnim numerze „Kultury”.

Jak dotychczas milczały tylko instytucje zatwierdzające i popularyzujące teksty i melodie polskich piosenek.

„A my — pisze „Kultura” — czekamy cierpliwie (...) na odstonięcie kulis Festiwalu w Opolu — kto kwalifikował teksty do publicznego wykonania (...) Kto wreszcie — i według jakich kryteriów rozdzielał laury (...) Chcemy znać skład osobowy i kompetencyjny owych anonimowych (jak dotąd) komisji, które kierują piosenką na estrady, na anteny radia i telewizji, na płyty Polskich Nagrań. Bo może należałoby coś (kogoś) zmienić?”

LEKTOR